a także i formą przemawiania, bo poza liryką opisową i powieścią współczesno-obyczajową oraz im pokrewnymi rodzajami, teren ekspansji literatury regionalnej jest zdaje się – ryzykowny, jeśli nie wręcz niemożliwy, o ile zjawiska mają podlegać kryteriom ogólnoliterackim.

Musimy się więc zgodzić na jeden albo drugi wybór czy dobór utworów, jeśli chcemy je analizować. Ryczałtowe traktowanie wszystkich „regionalistów", od Morcinka do na przykład Kani (z Śląska Opolskiego), prowadzi do absurdu literackiego, a tę drogę wielu krytyków właśnie obiera.

JÓZEF BIRKENMAJER

O „STARYM" I „NOWYM" REGIONALIZMIE*

W poprzednim artykule [zob. „Małopolska". R. X: 2008, s. 234–237] zaznaczyłem, że osobnego omówienia wymaga sprawa rzekomych dwóch regionalizmów: „starego typu" i „nowego", jakie odróżnił w swym inicjującym artykule p. Szyperski. Odróżnienie to nie przypadło do przekonania dr. Troczyńskiemu: „nie wiemy, na czym polega różnica starego i nowego regionalizmu". Mnie też ono, przyznam się, wcale do przekonania nie przemawia, po prostu dlatego, że pojęcia „starości" i „młodości" w literaturze uważam za rzecz względną i bałamutną. Chronologia nie jest żadnym sprawdzianem wartości i życia dzieł artystycznych. Poematy Homera mają po dziś dzień w sobie niezgasły blask młodości, natomiast wiele utworów z nie tak dawnego okresu „Młodej Polski" nawet najbardziej wyrozumiały czytelnik musi stanowczo uznać za przestarzałe.

Zagadnienie, czy Homer był regionalistą, uważam za równie niepoważne, jak „kwestie" czy Homer „grywał w yo-yo"; inna rzecz, że gdyby chodziło o „sumę kolorytu lokalnego" takiej np. Itaki w *Odyssei*, byłaby to suma znacznie większa od takiejże sumy w dziesięciu tomikach „sonetów wielkopolskich"... Nawet gwary, na której tak p. Szyperskiemu zależy, znalazłoby się u Homera procentowo więcej! Z gwarowego punktu rzecz biorąc, chybaby przyszło uznać literaturę starogrecką za najbardziej „regionalistyczną" ze wszystkich, jakie kiedykolwiek pojawiły się na ziemi: Mimnermos, Sappho, Tyrtajos, Pindar – każdy z nich pisze zupełnie innym dialektem! I jeszcze to zróżniczkowanie językowe idzie w parze ze zróżniczkowaniem nie tylko treści utworów, ale – o czym domorosłym naszym regionalistom ledwie że się śnić zaczyna – ze zróżniczkowaniem formy artystycznej, ba, nawet i samychże rodzajów literackich. Dość wspomnieć rzecz powszechnie znaną, że chóry w tragediach attyckich pisane były inną gwarą niż dialogi. – Jednakże nie ma potrzeby nazywać poetów greckich regionalistami. Pojęcie takie – i nazwa podobna – były im zupełnie zbyteczne.

* „Dziennik Poznański", 1937, nr 49.

Tak samo, jak niepotrzebne było ono np. Mickiewiczowi, choć ten arcymistrz kolorytu (nie tylko lokalnego) w dziełach swych przedstawić umiał „kraj lat dziecinnych" tak wyraziście i plastycznie, jak udało się ledwie że kilku jego następcom w polskiej literaturze. *Balladynę* niepotrzebnie atakuje p. Szyperski: – Słowackiemu, gdy układał swą baśń fantastyczną, nie zależało z natury rzeczy ani na „regionalizmie" ani na kolorycie lokalnym, bo mu to nie było potrzebne; równie można by się oburzać, że nie jest „regionalny" (palestyński?) „Mojżesz" Michała Anioła, albo „Galatea" Raffaela albo *IX Sonata* Beethovena.

„Dawniejsi pisarze wstydzili się prowincji" – twierdzi p. Szyperski znów nie precyzując epitetu „dawniejsi". Gdyby szło o starożytnych, to wstyd wspomniany należał chyba do rzadkości, skoro taki np. Horacy w głośnym na cały świat *Exegi monumentum* właśnie tym się szczyci, że wyszedł z apulskiej kolonii. W mowie łacińskiej wyraz prowincja nie miał znaczenia wzgardliwego. Jako *res minoris gentis* zaczęto traktować prowincję, w przeciwieństwie do stolicy, podobno dopiero we Francji w. XVII (por. *Prowincjałki* Pascala) – gdy pod wpływem znacznym pseudoklasycyzmu i stołecznej maniery rozpoczęła się niwelacja, centralizacja i kodyfikacja literatury. I u nas w dobie pseudoklasycznej – zwłaszcza za pierwszych lat Królestwa Kongresowego – natrząsano się z „prowincjałów"; wtedy to przecie w Warszawie przezywano Mickiewicza „smorgońskim poetą", a wytykano mu prowincjonalizmy. Ale po Mickiewiczu już pisarze nie wstydzili się prowincji: Kraszewski opisywał Wołyń, Chodźko Litwę, Lenartowicz Mazowsze, Kaczkowski Sanockie, Dygasiński Kieleckie, tylu innych Krakowskie czy Podhale. Do Kasprowicza, Żeromskiego, Tetmajera, Wyspiańskiego szła w tym względzie droga nieprzerwana. A żadnego ze wspomnianych obwinić o to nie można by w utworach swych „zacierał ślady" danego regionu.

„Dzisiejsi (poeci) analizują i naświetlają". Zdanie to byłoby zrozumiale, gdyby miało przedmiot gramatyczny. Różne bywają analizy w literaturze, a niektóre z nich sięgają lat bardzo dawnych (św. Augustyn, Dante, *Faust* Goethego etc.). Przypuszczam, że zdaniem p. Szyperskiego, dopiero dzisiejsi poeci analizują cechy kolorytu lokalnego jakiejś okolicy. Przyznam się, że w takim razie sprawa pozostaje dla mnie niejasna. Do dzisiejszych utworów „nowego typu regionalnego" zaliczył p. Szyperski „cykle Zegadłowicza" (opowiadania Tetmajera, Orkana, wymienione jednym tchem są to rzeczy z przeszłego jeszcze pokolenia). Komu jak komu, ale Zegadłowiczowi obca jest zgoła myśl bawienia się w reflektor „naświetlający" – i to jeszcze „bez odsłonek romantycznych" – ziemię beskidzką. Kto by podobnie sądził dałby dowód, ze nie zna rzeczy tak nieodzownej do zrozumienia Zegadłowicza, jaką jest przedmowa do „powsinogów" z r. 1924.

„W Polsce ten kierunek jest dopiero zapoczątkowany" – mówi o regionalizmie p. Szyperski. Bądźmy ściślejsi: został zapoczątkowany kilkanaście lat temu, a to już kawał czasu przy „dzisiejszym wyścigu życia". Akurat dziesięć lat temu ukazało się dzieło Żeromskiego, obok którego żadnemu z badaczy regionalizmu nie wolno przejść obojętnie. Nosi ono tytuł *Snobizm i postęp*. Źródłem, z którego ta książka wypłynęła, był niepokój o losy polskiej literatury, o jej samoistny wyraz, o jej oryginalność. Ukazawszy na wielu kartach postacie prawdziwych twórców, którzy ku istotnemu postępowi literaturę prowadzą, takie gorzkie słowa zwraca Żeromski ku *servile imitatorum pecus*, ku wszechwładnej rzeczy snobów:

> Nam, którzy przecie rośniemy w dumę i nadymamy się, gdy nas kto nazwie Francuzami północy, wcale nawet nie chodzi o oryginalność. Chodzi o to, by być do kogoś „na zachodzie" zupełnie podobnymi. Oryginalnością u nas nazywa się, gdy ktoś po kryjomu przemyci na targ warszawski czy krakowski jakowąś nowostkę z zachodu czy tam ze wschodu, wytworzy koło tego towaru rumor czyli „prąd", to jest ogonek naśladowców, kopistów i plagiatorów. Skoro zaś zjawia się tutaj na miejscu utwór prawdziwie oryginalny, samoswój, nowy i kapitalny, to przechodzi w krainę niepamięci bez wrażenia.

Do tych twórców, na których snobizm nie zwraca uwagi, należy i lud:

> Niezmierna dziedzina twórczości leży właśnie wśród tego ludu. Kto wie, może tam również leży „sposób" nieznany nam jeszcze na teatr narodowy, teatr nasz własny. Inteligencja tylko schylić się ma, żeby ów sposób zobaczyć, wyświetlić i podać ludowi... W ten sposób z naszych wiejskich zaułków może wypłynąć sztuka najzupełniej nowa, nasza własna nie tylko co do treści, ale i co do formy.

Zainteresowania regionalne miały więc dać początek i podnietę – nowym formom sztuki polskiej.

Autor *Snobizmu i postępu*, gdyby dzisiaj żył i obserwował stan bieżącej literatury, na pewno nie byłby zachwycony wszystkimi wyczynami epigonów regionalizmu. Powiedziałby o nich mniej więcej to, co powiedział o epigonach wyspianizmu (choć Wyspiańskiego samego cenił i wielbił):

> Przybył nowy kanon i nowa kategoria snobizmu, zjawiła się swoista moda, a nadto wyrosło nowe tabu, według którego niepisanych zasad tutaj znowu znajduje się cel drogi, ostatni szczyt, cypel i koniec wszelkiej twórczości.

A cóż dopiero gdyby przeczytał: „Ta moda przyszła do nas z zachodu, głównie z Anglii"! Coś tam innego wprawdzie słyszałem – że nawet sam termin „regionalizm" ukuto we Francji – ale to właściwie drobnostka. Chodzi mi o rzecz ważniejszą: by nareszcie określić istotę regionalizmu i dać bardziej dorzeczny jego podział.

Regionalizm – jeżeli już koniecznie o nim mamy mówić w literaturze – rozróżniłbym dwojaki: formalny i twórczy. Pierwszy z nich, może stosowniej będzie nazwać go pedanckim, szablonowym, to gromadzenie przeróżnych rekwizytów, „materiałów", słowem, pilna kompilacja mająca na celu koniecznie ulepienie jakiegoś utworu o „temacie regionalistycznym". Byłem naocznym świadkiem, jak taki „regionalista" przepisywał sobie z encyklopedii Orgelbranda notatkę o jakimś bakałarzu z Szamotuł (nb. mylną), by ją na sonet przeformować. Regionalizm prawdziwie twórczy – a taki tylko dla literatury może być pożądany – będzie czerpał nie z kompilacji, lecz ze świeżych, niezużytych dotąd przez nikogo zasobów artystycznych i kulturalnych danej okolicy, a przejęte motywy będzie rozwijał oryginalnie, wyciśnie na nich nowe własne swe piętno. Tak czynił Żeromski i Zegadłowicz, tak – w zakresie o wiele szerszym – Stanisław Wyspiański. Zdaje się, że bliski tu jestem słusznemu powiedzeniu dr. Troczyńskiego: „Regionalizm jako jeden z ubocznych czynników nie szkodzi dziełu, jeżeli posiada ono samoistną budowę".

Nie wiem, na jaką „Przedmowę" Mickiewicza powołuje się p. Szyperski, chcąc dowieść, że „nie ma sensu walczyć z przeciwnikami regionalizmu". Jeżeli to chodzi o przedmowę do *Ballad* (bo ten zbiór jest „regionalny starego typu"), wtedy można przypomnieć, żeśmy już przeżywali niegdyś balladomanię i sonetomanię, podobnie jak dziś przeżywamy regiomanię. Była to też moda, snobizm i maniactwo, nad którymi czas przeszedł spokojnie, ocaliwszy tylko sonety i ballady jednego Mickiewicza. Są znaki, że hasło regionalizm zaczyna miejscami zwolna bankrutować, jałowieć, a nawet się ośmieszać. Oto na przykład pewien krytyk, którego artykuły często bywają podobne do jadłospisów, niedawno zupełnie serio sławił jako cechę regionalną miejscowości, iż tam podają na weselu – rosół z makaronem!...

Wniosek ostateczny: regionalizm nie zaszkodzi twórcom wielkim, którzy są wyżsi nad jego dogmaty, małym zaś nie tylko nie pomoże, ale do reszty ich obezwładni więzią narzuconych, a zgoła, niekoniecznych przepisów. W każdym razie naczelnej zasady twórczej z niego robić nie wolno – zwłaszcza w sposób tak banalny, naiwny, płytki, jak to poczęto czynić gdzieniegdzie ostatnimi czasy. Jeżeli i to być ma cechą „nowego typu", wolę stanowczo „regionalizm starszy". W nim nie było przynajmniej tej przerażającej monotonii, jaka zieje z niektórych zbiorków chronologicznie niedawnych. A wiadomo, że jednostajność, że dreptanie ustawiczne w kieracie wydeptaną ścieżką nie jest wcale żywotnością i postępem – jest zastojem i nudą. Rozmaitość się podoba, mówili starzy Rzymianie.

STANISŁAW KOLBUSZEWSKI

REGIONALIZM JAKO ZJAWISKO LITERACKIE*

W dyskusji na temat regionalizmu, prowadzonej z ożywieniem na łamach „Dziennika Poznańskiego", chciałbym poruszyć jedną z kwestii podstawowych. Mianowicie w zagadnieniu regionalizmu, jako zjawiska literackiego, trzeba odróżnić dwie strony, dwa przejawy: 1. świadome, celowe operowanie motywami regionalnymi; 2. przenikanie tych motywów z podświadomości twórcy do jego dzieła.

Informacja: przez „regionalizm" w literaturze rozumiem wprowadzenie do dzieła pewnych specyficznych właściwości lokalnych, „kolorytu lokalnego", pewnych cech danego środowiska, które wybijają piętno na utworze literackim, pozwalając go ściśle wiązać z podglebiem, na którym narodziło się. W tym sensie np. można mówić o regionalizmie w *Sielankach* B. Zimrowicza, *Roxolanie* Klonowicza, można doszukiwać się motywów regionalnych w twórczości Wacława Potockiego – by wyłoniło się tło literatury staropolskiej.

* „Dziennik Poznański", 1933, nr 51.